Nr 4. Lwów w kwietniu 1897. Rok XX.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi z początkiem każdego miesiąca.

ZJAZD ŁOWIECKI.

ODEZWA.

W planie reorganizacyjnym, opracowanym niedawno i zaakceptowanym przez doroczne walne zgromadzenie naszego Towarzystwa dnia 17. lutego b. r. jako jeden z najważniejszych środków podniesienia i ożywienia spójni braterskiej wśród łowców, zaznaczono: rozwój życia towarzyskiego. A życie towarzyskie, to zakres daleko szerszy, aniżeli się na pierwszy rzut oka może wydawać. Możnaby je porównać do pierścieni, rysujących się na spokojnej powierzchni wód pod wpływem rzuconego kamienia. Te pierwsze, najmniejsze pierścienie, to życie towarzyskie w swoim najskromniejszym zakresie, w gronie bezpośrednich sąsiadów i znajomych, spędzone na polowaniu, na zabawie tanecznej i dyskusji o tem lub o owem — te największe pierścienie, to życie towarzyskie w swoim szerokim rozwoju, ogarniające nie jeden powiat lub okolicę, lecz ogół ludzi, połączonych ze sobą wspólnym jakimś celem, wspólnym zawodem, wspólnymi ideałami.

Do wytworzenia takiego najobszerniejszego pierścienia towarzyskiego w życiu łowców naszych dążyć pragnie konsekwentnie i wytrwale centralny wydział gal. Towarzystwa łowieckiego i w tym celu zamierza w bieżącym roku jeszcze, pod-

czas odbywających się we Lwowie wyścigów konnych, które i tak sporo nemrodów naszych sprowadzą do stolicy kraju, urządzić pierwszy zjazd łowiecki. O pożytkach, wynikających z takiego zjazdu, nie potrzeba się zbyt długo rozwodzić, gdyż leżą one jak na dłoni. Już samo wzajemne poznanie się tak znacznego grona łowców, będące sukcesem czysto towarzyskiej natury, musi wpłynąć jak najzbawienniej na tempo rozwoju życia łowieckiego.

Po za tem jednak leży jeszcze cały szereg korzyści o poważniejszem znaczeniu, gdyż odnoszących się wprost do stanu łowiectwa w kraju naszym. Swobodna i wszechstronna dyskusja, z jakiej korzystać będą mogli uczestnicy zjazdu, przyczyni się niezawodnie do wydobycia na jaw wielu żywotnych interesów, a wspólne omówienie niektórych piekących spraw łowieckich wpłynie na ich szybsze i skuteczniejsze załatwienie. Wzajemne zachęcenie się do pracy pod sztandarem łowieckim, dokładne poznanie stanu zwierzyny w rozmaitych okolicach kraju, zbliżenie się do siebie całego szeregu pomniejszych związków i grup łowieckich — oto mniej więcej są te korzyści, jakie spodziewamy się osiągnąć za pomocą zjazdu.

A dalej będzie to jakgdyby generalna rewja, jakgdyby ogólny przegląd i policzenie sił myśliwskich w kraju naszym, przegląd, który przekona, iż jest nas zastęp zarówno liczebnie, jak intelektualnie — potężny. Doniosłość zjazdów zrozumiały dawno już i zastosowały w praktyce rozmaite zawody, to też co roku odbywa się ich w każdem wielkiem mieście kilka, a często kilkanaście. W Niemczech zjazdy łowieckie są czemś tak już znanem i popularnem, że interesują się niemi nie same tylko sfery łowieckie, ale i inne warstwy towarzyskie, a udział w zjazdach bywa wprost imponujący. Nasz będzie pierwszym, ale wierzymy w to, że wypadnie świetnie i da impuls do urządzenia całego szeregu podobnych zjazdów.

W następnym numerze *Łowca* ogłoszony zostanie dokładny program zjazdu, popisowego strzelania i spis rozdać się mających honorowych nagród. Na dziś — zamykając tych kilka przedwstępnych uwag,—wyrażamy niepłonną może nadzieję, że projekt urządzenia zjazdu powita ogół łowców na całej przestrzeni kraju naszego z taką samą życzliwością i dobrą wolą, z jaką rzuca go wydział naszego Towarzystwa.

Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego.

JELEŃ OLBRZYMI.

Napisał
WŁADYSŁAW SPAUSTA.

(Rozsiedlenie. — Kopalne resztki. — Charakter przyrodniczy zwierza — Zdanie o jego niedawnej zatracie w Niemczech. — Scello, Schello dokumentów cesarzy niemieckich. Schely Nibelungów. — Megacer hybernicus).

Jeżeli wywlekam na karty czasopisma łowieckiego, wspaniałą postać megacera, to nie dla tego, abym idąc za zdaniem wielu przyrodników i myśliwych, chciał mu nadać charakter historycznego zwierza łownego i w ten sposób zdobył jeszcze jedną gałązkę pokaźną dla wianka naszej przeszłości historycznej; myśl ta wcale mi głowy nie zaprząta, przeciwnie wszelkie podania i hypotezy o jego bycie historycznym pragnąłbym postawić w świetle krytyki, o ile tylko ku temu przedmiot się nadaje.

Gdy idąc tą drogą do niepociesznych doszedłem wyników, gdy w żaden sposób nie mogę uwierzyć, aby megacer jeszcze w 12tym wieku p. C. przebywać mógł gdziekolwiek na ziemiach europejskich, jak to chcą niektórzy, no, to i mnie prawdziwą przykrość sprawa ta niewiara, a patrząc na jego rozsochy i szkielety po muzeach, nie przestanę odczuwać pewnego żalu do matki natury, nie przestanę zazdrościć epokom geologicznym, którym było danem oglądanie tak wspaniałego tworu.

Pominąwszy już rozmaite formy przejściowe, w jakich już w oligo- i miocenie wyłaniają się kształty jeleni, do najdawniejszych form jelenia właściwego, należy jeleń olbrzymi (Cervus euryceros, Aldrowand, albo Megaceros, hybernicus, Owen), współczesny zaginionym gigantom gruboskórym, epoki dyluwialnej. Zwierz ten o szuflowatych, do danielowych podobnych rozsochach, których rozpiętość do 4 metrów dochodziła, o dziwnie małej głowie, 10 stóp wysoki, licząc po górne końce rozsoch, przemieszkiwał niezawodnie w całej środkowej Europie, a najczęstszym musiał być w Irlandyi i wogóle na wyspach brytyjskich, jak to jego kopalne resztki zdają się dowodzić. Do niedawna jeszcze sądzono, że ojczyzną jego były wyłącznie te wyspy, a szczególnie Irlandya, jednak od czasu, gdy się nieco energiczniej wzięto do badania kopalnej fauny, coraz to częściej na kontynencie europejskim znajdywano ślady, a nawet całe szkielety megacera. Również i na ziemiach naszych, w rozmaitych okolicach, odnaleziono części jego szkieletu, zazwyczaj czaszkę z defektowanymi rozsochami. W paleontologicznym dziale muzeum hr. Dzieduszyckich oglądać można kilka takich okazów, o ile pamiętam, pochodzić one mają z pobrzeży Sanu w Przemyskiem. Mocno czasem uszkodzone rozsochy tych okazów, dają tylko przypuszczalną miarę rozpiętości, jednak pozostają daleko w tyle poza rozmiarami exemplarza auxenowskiego w muzeum brytyjskiem lub innych, jakie można widzieć w muzeach zagranicznych. Być może, że resztki megacera, znajdywane u nas, należą do starszej odmiany, znajdywanej również i w Niemczech

w pokładach lodnikowych koło Weimaru, koło Wormsu, w Cottbus i w. i., różniącej się od odmiany iryjskiej słabszymi i nie tak poziomo rozłożonymi rozsochami (Cervus euryceros var. Ruffei). Zasadnicza architektonika rozsochów megacera jest ta sama, co u jelenia zwykłego, a specyalną charakterystykę stanowi wygięcie łodygi już od pnia poziomo ku tyłowi i na zewnątrz, niemniej zupełne spłaszczenie górnych gałęzi, podobnie jak u daniela, podczas gdy gałąź oczna (pierwsza od spodu) typ wieńca jeleniowego zachowała.

W dyluwialnych torfach nowotarskiej doliny w tzw. pustacyach lub g r e l a c h, odkryto również resztki megacera (Jahrbuch des Zool. Bot. Gesellsch. Wien 863 p. 1047). Postępując dalej na zachód pasmem ziem środkowo-europejskich, jakkolwiek nie często, ale wszędzie można się spotkać z kopalnymi resztkami megacera. W Austryi dolnej odkrył je koło Zeiselbergu hrabia Wurmbrandt, w Niemczech znaleziono rozmaite fragmenty szkieletów w górnej Frankonii; we Francyi w dolinie rzeki Somme, w grotach Aurignac, Monstier i w. i., i niemal w oczach rośnie z każdym dniem kopalny ten materyał. Stosownie do warunków pokładu, w jakim się resztki megacera znachodzą, przedstawiają się one w rozmaityn stanie zachowania, po większej części są to okazy bardzo nadwerężone i uszkodzone, a osobliwie do wielkich rzadkości należą pięknie zachowane rozsochy. To też na palcach policzyć można muzea i zbiory na kontynencie europejskim, w których oglądać można pięknie zachowane rozsochy megacera. O ile ma wiadomość sięga, posiada je cesarskie muzeum w Wiedniu, przyrodniczy gabinet miasta Frankfurtu, niemniej prywatne galerye hr. Erbach w Odenwaldzie w Hesyi i hr. Breunerów w Grafenegg. Tam dopiero pod wrażeniem tego olbrzymiego rogacza w całej pełni, gdy dysproporcya maleńkiej głowy podnosi jeszcze bardziej ogrom rozsochów, snuje myśl nić kombinacyi do rozwiązania zagadki wieków. Domysł nieszczęsnej loiki, opierając się bądź na złudnych pozorach, bądź na odmiennych warunkach przyrodniczych chwili współczesnej, każe megacerowi zamieszkiwać jedynie tylko stepowe i bezdrzewne pasma krajów, bo w puszczy leśnej nie mógłby się ten rogal swobodnie poruszać i utwierdza się w tem mniemaniu, słysząc, że większość resztek tego zwierza odszukaną została w bagnistych pokładach torfowych. Do takich wniosków doszedł i jeden z najcenniejszych współczesnych autorów, umysł badawczy i samodzielny, którego spostrzeżeniom nauka łowiectwa bardzo wiele zawdzięcza (Geweihe u. Gehörne R v. Dombrowski 1884. p. 78).

Czy megacer był zwierzem leśnym, czy mieszkańcem bezdrzewnych pasm, to pewno kwestya, której rozwiązać nie zdołają kombinacye spekulatywne, a klucz do pozytywnej o tem wiedzy zaginął w geologicznych wiekach. Ponieważ jednak wrodzonym jest naturze ludzkiej wstręt do ogłoszenia nieświadomości, wybacz łaskawy czytelniku, że jako także „homo sui juris“ wysnuwam tu nieco w odmiennym kierunku szereg kombinacyj w tej kwestyi.

Przedewszystkiem nieznanym i tylko w idealnych obrazach odtwarzanym jest charakter leśnych puszczy z czasów istnienia jelenia olbrzymiego. Czyż były to w samej rzeczy gąszcze, o jakich my mamy dostateczne pojęcie patrząc na młodniki z naturalnych obsiewów lub z wypustów niskopiennych, przez które, jak mówią, i wąż się nie prześliznie?

Sądzę, że nieco inaczej wyglądało w tej dziewiczej kniei dyluwialnej naszego podniebia, a sądzę o tem na gruncie zebranych wrażeń w puszczach pierwotnych, z których nie wielkie pasemka przetrwały aż do naszych czasów. Conajmniej można się tam spotkać z gąszczami, nieprzebytymi na wielkich powierzchniach. Natomiast w rozmaitych kierunkach leżą tam całe snopy powałów, sterczą korzenie wywrotów rozpaczliwymi kształty, a po nad tem wszystkiem szumi morze liści i gałęzi, zacienia ziemię i tylko wegetacyę pygmeów roślinności dopuszcza. Nieprzebyte kępy gąszczy młodników, powstają tylko miejscami, ograniczając się na stosunkowo niewielkie powierzchnie, gdy po klęskach olbrzymów wpadną słońca promienie na ogołoconą ziemię i powołają do życia i bytu spiące tam zarzewia milionów. Tak się dzieje w puszczach pierwotnych, na które jeszcze oczy nasze patrzą, tak wyglądać musiało w puszczach leśnej epoki, w której jeszcze mamut, nosorożec, megacer przebiegały jej ostępy. Twierdze nieprzebyte dla człowieka z powałów i łomów, nie mogły być żadną przeszkodą w swobodnem poruszaniu się jelenia olbrzyma, a wśród kęp gąszczy, rozlegały się ogromne obszary, prześwietlonych naturą rzeczy drzew — na ziemi ścieliły się dywany mchów, z których ledwo gdzieniegdzie kłuła się jakaś krzewina do bytu bez jutra. Przypuszczam, że było tam dość miejsca nawet dla olbrzymów ówczesnej kniei, a gdyby me wyobrażenie o charakterze siedlisk olbrzymów dyluwialnych było i błędnem, gdyby w samej rzeczy może odmienne działanie czynników przyrodniczych w tej epoce umożliwiało wielkie i jednolite zagęszczenie puszczy, to i w takim razie pouczony przykładami z naszych czasów jeszczebym nie wątpił o lesistym charakterze megacera. W dziewiczych puszczach klimatu tropikalnego, wśród gąszczy, o jakiej mieszkaniec północy żadnego nie może mieć wyobrażenia, poruszają się swobodnie kolosy kniei.

„Drungta“ według słów jednego z naszych, najznakomitszych myśliwych, (Notatki myśliwskie z Indyi. Kraków 1891), jest „tak straszliwie gęsta, zbita w tak ciemną masę nierozerwalnie pokręconej i kolczastej roślinności, że nawet wprawni krajowcy z trudnością i niechętnie dają się namówić do długiego śledzenia postrzałka“. A przecież porusza się tam całkiem swobodnie wprawdzie nie megacer, ale również olbrzym w swoim rodzaju jeleń Sabur, (Rosshirsch Cervus Aristotelis), przebiegają te gąszcze bawoły i wałowity słoń bez wysiłku truchtuje tą gęstwinę.

W niekłóconym stanie natury zwierz nie błądzi po puszczy, ale świadomie porusza się ku pewnym miejscom, dokąd go wiodą potrzeby życiowe; stąd wytwarzają się tam i w najstraszniejszych gęstwinach utarte, wydeptane lub wygryzione ścieżki, po których już z wszelką wygodą kroczą stada po stadach praojców, a li tylko, gdy konieczność zmusi, wskakują w odmęty gęstwi i składają tam dowody, że zwątpienie nasze opierało się na bardzo błahych powodach. Czem innem są wieniec, rozsochy lub kły słonia w ręku naszem, a czem innem w organicznym związku z machiną świadomą ich zażycia. Ot powiem krótko, czy to chodzi o wieniec lub rozsochy, czy o mitry i korony, wszystko to trzeba u m i e ć n o s i ć, w tem cały sekret i cała sztuka.

Moczary i torfy, z których wydobyto przeważną część i to najlepiej zachowanych resztek megacera, mają także niby to przemawiać za tem, że zwierz ten był mieszkańcem bezdrzewnych równin, ma to cechować megacera „unzweideutig als Bewohner baumloser Ebenen“. Trudno się zgodzić ze słusznością takiego motywu, już choćby z tej prostej przyczyny, dla której nie uwierzymy w żywot wodny kota, którego zwłoki wydobyto ze studni. Czyż torfy i moczary są jedynie cmentarzyskiem megacera? Czyż nie

jest to przedziwna skarbnica dawnych wieków, w której warstwowym układzie dadzą się odczytać w pewnym chronologicznym porządku odgrywane na tej scenie dramaty? Czyż nie są to kopalnie niezliczonej ilości gatunków, bądź zaginionych w geologicznej przeszłości, bądź zatraconych już w dziejowym okresie, bądź jeszcze istniejących, których charakter nie pozostaje w żadnej wątpliwości?

Zwierzęta wyłącznie leśnej natury położyły tam swe kości obok mieszkańców stepu, zabłąkały się tam i resztki alpejskich turni obywateli — a wszystko to zabalsamowały te same warunki przyrodnicze, które dozwoliły wielkim badaczom przeszłości odtworzyć obraz roślinnej szaty dalekich eonów.

Pominąwszy już, że resztki te mogły być naniesione ze stron dalekich i złożone w miejscach, gdzie zastagnowały lodnikowe wody i gdzie wytworzyły się warunki powstawania torfu, dzisiejsze torfowiska nie były zawsze takiemi. Owszem te ogromne siedliska torfowca zielonego w wodzie, a płowego po wyschnięciu, przetkanego z rzadka turzycami i rosiczką, gdzie tylko po wynioślejszych miejscach występuje nędzna wegetacya karłowatych krzewów, posiadały niegdyś bardzo treściwe dzieje, zanim przewaga jednego żywiołu wywołała martwotę, zanim śmierć zamaszysta snując się po ziemi, liczne gnatami napełniła kostnice.

Nad posępną dziś postacią, kołysały się niegdyś najszlachetniejszych drzew korony. Długie wieki złotej dla lasów ery mijały, zmieniały się w tysiącleciach zwolna gatunki drzew, i w miarę zapanowania najodpowiedniejszych dla się warunków pojawiał się tam zwierz rozmaity (W pustacyach nowotarskich znalazł geolog Stur około Bobrowa ślady modrzewiów, inni wielką ilość gałęzi sosnowych i pni brzozowych. A. Rehman szkice geograf. z Karpat). Kolosy zamarłej fauny przebiegały stadami leśną tę krainę, a zmyślny bóbr ścinał drzewa i zakładał swe kolonie na płynących wodach. Pozostały Bobrów, Bobrowice na Podhalu, w Żubercach, w Żubrochtowach jęczały niegdyś leśne żubry tam, gdzie prawdopodobnie o wiele wcześniej rozlegał się groźny poryk megacera. Lecz skończył się wiek złoty dla tego pasma ziemi, gdy z kolei to dreszcz zimny, to gorączka dotknęły ziem europejskich. Gorączką trawione lodniki zsunęły się w równię, niszcząc i obalając wszystko po drodze, szutry, rumowiska i kłody zatamowały odpływ wód, a zbagniona, martwym rumem naniesiona puszcza leśna porastać poczęła wegetacyą karłów.

Ponury to stan — tragedya pod wpływem przewagi jednego zimnego żywiołu.

Mnóstwo resztek megacera w warstwie lasowej na wyspach brytyjskich, a przeciwnie rzadkość tychże w pokładach młodszych, zdają się wzkazywać, że zwierz ten zatracał się nawet wcześniej, jak współczesne mu pachidermy, niemające pewnej karty w przedhistorycznym łowiectwie troglodytów. Mimo to w nowszych już czasach dały się słyszeć z rozmaitych stron zdania, jakoby megacer przetrwał kolejne zmiany kosmiczne i istniał jeszcze w d w u n a s t y m w i e k u na ziemiach europejskich, co więcej zdanie to spopularyzowało sie do tego stopnia, że znalazło miejsce w publikacyach zbiorowych, obliczonych na bardzo szerokie koła czytelników.

Nie mam wcale pretensyi do rozwiązywania tak głębokich zagadek, a jedynie pragnę tu tylko omówić pokrótce powody, na których się oparło to zdanie. Oto w odkrytych niedawno przez prof. dr. Newalda nadaniach (Gerbbriefe) cesarzy niemieckich Ottona I, Henryka II i Konrada II z lat 943, 1006 i 1025 na rzecz biskupów z Utrechtu w lesie turyngskim, powtarza się następujący ustęp: „Interdicimis ut nullus comitum aliorumve hominum in pago forestensi, qui est in comitatu Evcohardi, cervos, ursos, capreas, apros, bestias insuper quae Teuutonia lingua E l o aut S c h e l l o apellantur, venari“.

Odkrycia te uwolniły pewien ustęp Nibelungów od posądzenia o anachronizm. Jest tam również mowa o podobnie nazwanym zwierzu, stanowiącym obok innych zdobycz łowiecką bohatera w tej rapsodyi 12 wieku:

„Darnach fluog er schiere einen Wisent
und einen Elch,
„Starcker Ure viere und einen grimmen
Schelch“.

Cesarskie nadania niemniej znów późniejszy utwór poetycki wspierając się nawzajem, nie dopuszczają wątpliwości, że w lasach niemieckich istniał podówczas jakiś zwierz Schelo, Elo, Schelch. Odkrycie Newalda zdziera fantastyczną szatę, jakąbyśmy okryć chcieli zagadkowego Schelcha w której byłoby mu zresztą bardzo do twarzy w tym utworze poetycznym, gdzie około reminiscencyj czysto pogańskich z dalekiej starożytności oplata się wiązanka dziejowych faktów w hafcie wyobraźni nastroszonej anachronizmami.

Lecz cóż to za bestya był ów Schello czy Schelch? Padł on rażony oszczepem Siegfrieda, ale nie zginął — przeciwnie żyje w naszych czasach jako istny rek do popisów doktrynerskiej gimnastyki i urasta wreszcie do wielkości megacera. Dlaczego? myślałem o tem często i wiele, ale w żaden sposób nie mogłem wpaść na trop megacera historycznego. Kombinując, powołam tu ustępy źródłowe. Owszem czem więcej zajmowałem się Schelchem Nibelungów i Schelem dokumentów, tem bardziej oddalał się odemnie megacer i w końcu zgubił się w przeszłości, w którą i myty narodów nie sięgają.

Dr. Munch w swej pracy o megacerze (Wiener Jagdz. N. 3. 1880) nie wierzy wprawdzie w pobyt megacera na ziemiach w XII. wieku, jednak nie odmawia mu charakteru dziejowego: „Was uns der Dichter des Nibelungenliedes erzählt, kann sich also auch Jahrtausend früher zugetragen haben“, odnosząc użytą tam nazwę li tylko do megacera. Ale cóż kiedy takie przypuszczenie natrafia właśnie na epokę, która czyni je nieprawdopodobnem. Megacer to nie krecik — to nie wiewiórka, — to wspaniały olbrzym, który z pewnością nie uszedłby uwadze Rzymian, a ci dość szczegółowo zajmowali się całą przyrodą, a zatem i fauną krain germańskich, do których tylko sięgnął ciężki krok ich legionów. 1200 lat przed narodzeniem się Schelcha nieszczęsnego w rapsodyi średniowiecznej, wyprawy wojenne Druzusa, Tyberiusza i Germanika, sięgające aż Wezery i Elby, obznajomiły Rzymian dostatecznie z przyrodą kraju. Osobliwości fauny północnej, o których już poprzednio pisał Cezar dotknąwszy tylko krawędzi puszczy germańskiej, przesuwały się teraz przed okiem zdumionych Rzymian, gdy po przejściu śnieżnych Alp łańcuchów leciały ich orły coraz to głębiej w tajemnicze ziemie barbarzyńskiej Germanii. Pozostały z tych czasów opisy lwów, żubrów, łosi, jakie oglądano w kniejach germańskich, ale napróżno się kusić o jakąkolwiek wzmiankę, któraby wskazywała na istnienie jelenia olbrzymiego. O wielu rzeczach pisali ówcześni autorowie rzymscy nie z własnego doświadczenia, ale tylko z opowieści, a opowieści takich nie brakło przy bardzo ścisłym kontakcie imperium rzymskiego z Germanią. Od czasów Cezara rekrutowano pewne legiony

z Germanii, a bitne to żołdactwo rozsyłano w rozmaite strony ówczesnego świata, gdzie tylko wskazywała im drogę szeroka polityka imperatorów. Gdyby zatem i milczeli pisarze, to te masy synów Germanii, rozniosłyby po świecie wiadomość o tak okazałym płodzie swej ojczyzny. Nasz hucuł idąc w dalekie strony pod swą chorągwią roznosi wśród obcych ludzi gadki o niedźwiedziu rodzinnej knieji, Podhalanin czy Styryjczyk tęskni za swą kozicą — czem dalej od rodzinnego nieba, tem natarczywiej cisną się wspomnienia utraconego raju i najskrytszy umysł potrzebuje upustu wezbranych uczuć, koncentrujących się u ludu około wspomnień rodzinnego gniazda, gdy duszę dotknie straszna zmora nostalgii.

Jakiekolwiek tradycje o jeleniu olbrzymim nie utonęłyby bez śladu na klasycznym gruncie, możeby pozostały o nim jakie mgliste podania. Tymczasem cisza zupełna — zabrakło treści ku temu, bo prawdopodobnie bardzo już dawno przedtem były zwłoki megacera w dawniejszych pokładach ziemi i spoczywały aż do chwili, gdy ślepy przypadek wyniósł je znów na powierzchnię, a słynny Owen w swej History of Britisch fossil mammalia ukazał jego wizerunek zdumionemu światu. (1846).

Naprowadzone nadania cesarzy niemieckich używają niezrozumiałej dla nas nomenklatury niezawodnie do określenia łosia, a to tem prawdopodobniej, że łoś podówczas znajdował się w lasach niemieckich, a mimo to nie znajduje się w katalogu przytoczonej tam fauny. Zwano go niezawodnie Elo, Schelo lub Scelo, podobnie jak dziś zwiemy kozła rogaczem, capem i sarniukiem — borsuka jaźwiem, zająca kotem, kopyrą itp., a może... może to były określenia dla odróżnienia wieku lub płci. Szczególniej kastowa gwara łowiecka odznaczała się bogactwem i synonimami u wszystkich narodów. Zda mi się przeto, że stare te szpargały nikomu kłopotów wątpliwości zrodzić nie mogą, a już co najmniej będzie się ktoś pod użytemi tam nazwami spodziewał megacera.

Profesor Newald nazwy te odnosi do łosia byka, gdyż w staroniemieckim zwano tak ogiera, skąd pozostały do dziś dnia „Schälhengst“ lub „Beschäler“.

Pozostaje zatem jeszcze ten nieszczęsny „grimmer Schelch“ Nibelungów, jako rym do użytego w poprzednim wierszu Elch — zatem niedający się już i wytłómaczyć w sposób, jak to uczynił Newald z Schellem nadań cesarskich tem bardziej, że słowo Schelch obok Elch lub Elg znajduje się również i w innych pomnikach piśmiennych wieków średnich, zatem synonimem jednego i tego samego zwierzęcia nie jest.

Lecz dlaczegoż ten Schelch ma oznaczać koniecznie megacera, dlaczego nie np. konia dzikiego? Dlaczego nie rysia lub jakie inne zwierzę drapieżne, któremu użyty przymiotnik więcej jest do twarzy? Zkąd ta tendencyjna dowolność tłumaczenia bez najmniejszej racjonalnej podstawy? Dlaczego okazując takie zajęcie Schelchowi, nie darzymy i resztę towarzystwa Nibelungów podobnymi względami, czemuż tylko te lwy odnalezione przez bohatera na ziemiach niemieckich, owe łowy na smoki mają być utworami fantazyi? Gdybyśmy nawet przypuścili, powodując się chyba tylko jakiemś przeczuciem, że użyta w poetyckiem dziele nazwa w samej rzeczy do megacera się odnosi, to i to nieudowodniałoby jeszcze pobytu megacera na ziemiach niemieckich w XII. stuleciu. Licentia poetica upoważniająca autora do wprowadzenia na scenę Ditricha z Bern króla Hunnów Etzla i Pielgrzyma z Passau, do równoczesnej akcyi, uprawnia go zarazem do anachronicznych obrazów przyrody.

Wszelkie, prawdziwie rozpaczliwe tłumaczenia lingwistyczne, jakie spartolono, chcąc gwałtem naciągnąć do megacera, użytą w Nibelungach nazwę, są nazbyt komiczne, aby je w sposób poważny traktować. „Schelchen“ w narzeczu bawarskiem oznacza chód kołysający, otóż Schelch oznacza megacera, bo zwierz ten wskutek ciężkich i rozłożystych rogów musiał (!) mieć chód kołysający.

Po przejrzeniu całego szczupłego materyału, jaki w kwestyi tej stoi do dyspozycyi, przychodzimy do przekonania, że cała teorya o historycznej egzystencyi megacera w Niemczech, rozlatuje się w niwec, a już wcale nie daje się pomyśleć istnienie tego zwierza w XII wieku na kontynencie środkowej Europy. Wszak to czasy Barbarosów, Ludwików francuskich, Ryszardów, epoka rozkwitłego rycerstwa, możnych wasalów, w których zamkach gromadziły się łowieckie trofea pokoleń, a nadworni kronikarze notowali skrzętnie choćby jaką zdobycz łowiecką swych panów i nie zapomnieliby o megacerze, gdyby gdziekolwiek przebywał w knieji. O wiele przedtem wiedziałyby o nim coś stare prawa, a już wcale nie pomijałyby go łowieckie prawa Karola Wielkiego.

Cokolwiek inaczej wygląda rzecz o megacerze irlandzkim, tam miano znaleźć poważniejsze pobudki do wiary, że przetrwał on na Zielonej wyspie aż do ery dziejowej, a nawet jak twierdzi Hibert, znajdować się miał jeszcze w XII stuleciu po Chr.

Względy przyrodnicze wcale nie stoją na przeszkodzie istnieniu jakiegoś organizmu w pewnym pasmie odrębnego podniebia, podczas gdy ten sam organizm gdzieindziej uległ zatracie; miało to miejsce na wielką skalę w epokach ziemi, a powtarza się w erze dziejowej. Może wśród bardzo wyjątkowych warunków podniebia na wyspie, sławionej jeszcze przez Strabona z obfitości pasz, mógł się organizm dłużej opierać, może ciężko mu było pożegnać się raz na zawsze z uroczą Emerald Island, w której szmaragdowych kobiercach rozkochał się od wieków ród cały. Tak być mogło! czy tak było, to niech o tem mówią służące tej myśli powody.

Resztki megacera w Irlandyi znaleziono nietylko w grotach i w muszlowatych pokładach, na których spoczywają torfy (bogs), ale również i w samych torfach, powstałych już w epoce podyluwialnej. W każdym razie skonstatowanie istnienia megacera w epoce pomamutowej jeszczeby go nie uczyniło zwierzęciem historycznem.

Dalsze wywody Hiberta służące teoryi o zapóźnionej egzystencyi megacera na wyspie, są tak olśniewające, że aż wzrok oślepiają. Oto na szkielecie w muzeum dublińskiem, odkryto obrażenie jednego żebra, bezwarunkowo metalową strzałą (mit einer unbedingt metallenen Pfeilspitze), a oprócz tego znalazła się gdzieś (!) w Irlandyi łupież, zdjęta niechybnie ręką ludzką (unzweifelhaft durch Menschenhand abgestreifte Riesenhirschdecke), a wreszcie, gdy ci jeszcze za mało, łaskawy czytelniku, znaleziono w t. z kranodżach (Cranoges) *) irlandzkich kości i rozsochy megacera. Służyć one miały ku ozdobie mieszkań Kranodżystów (wie historisch nachgewiesen).

*) Są to mieszkania odpowiadające palafitom na kontynencie, zbudowane na wywyższeniach kamiennych terenu obramowanego palami. Niektóre z tych kranodżów zamieszkane były jeszcze w czasach historycznych, a później od r. 800 1600 używano niektórych z nich jako twierdze obronne. Następnie zapomniane odkryte zostały dopiero w r. 1836 przez Wildego i stanowią odtąd nieprzebraną skarbnicę wykopalisk dawnej kultury.

Gdyby niezbitym było faktem obrażenie żebra strzałą, to trzebaby jeszcze udowodnić, że miało to miejsce na zwierzu żywym bezwarunkowo narzędziem uderzonym, co, jak sądzę, sprawiłoby niejakie trudności. Kości i rozsochy megacera w kranodżach pochodzić mogły tak samo ze zdobyczy łowieckiej ówczesnych mieszkańców, jak mogły być poprostu przypadkowymi wykopaliskami w tych miejscach, gdzie takie mieszkania urządzano i które, jako rzecz nieznaną, z pietyzmem podobnym przechowywano w sadybach, jak później kości mamutów lub innych zwierząt kopalnych zawieszano na ścianach zamków, a nawet kościołów. Za myślą tą tem bardziej przemawia i stan znalezionych tam resztek megacera. — Oto oprócz pojedyńczego wypadku, nie znaleziono na nich żadnych śladów gwałtownego obrażenia.

Na wieść o zwycięstwie pod Waterloo, odżył dawny duch druidów w keltyckich mieszkaniach Irlandyi, po wyniosłych miejscach wyspy zajaśniały całopalne ognie i ku wielkiej szkodzie nauki, pożarły mnóstwo resztek kopalnych megacera. Fakt ten na pozór nieznaczny — mówi jednak również nieco o bardzo dawnej zatracie tego zwierza — bo do powstania takich przesądów u ludu, trzeba koniecznie misteryj pod grubą mgłą wieków. Pozostaje jeszcze ta nieszczęsna łupież, nastraszniejszy sęk, który mi nie jedną chwilę spokojnego snu odebrał. Ale niestety, skończyło się na tem. Instynktowa bojaźń o łupież własną, narażoną na niezliczone zamachy w czasach chronicznego przesilenia ziemiańskiego, nie dopuściła gonitwy za prawdą po zielonych wyspach, ale natomiast z gorączkowa niecierpliwością śledziłem kroki innych na tem polu badań realnych. Lecz głucha tam zaległa cisza — czyżby cała wiadomość o tej odnalezionej łupieży megacera, nie była chyba powtórzeniem mytu o kolchidzkiem runie?

Jakkolwiek dzieje dawnej Hibernii mało są znane, a rzeczywistość kryją fantastyczne podania i legendy, to przecież w tej ojczyźnie druidów i rozśpiewanych bardów, możeby przecisnęły się do nas jakie dźwięki, opiewające taki wspaniały monopol rodzinnej przyrody, któryby niezawodnie nastręczał bohaterom tego kraju sposobności do łowieckich zapasów, a śpiewakom i harfiarzom treści do dźwięków sławy. Ale milczą o tym zwierzu znane nam rapsodye iryjskich bardów, milczy iryjska powieść Ein, przepełniona zresztą gigantycznemi dziełami bohaterów, gdzieby nawet bardzo stosowne było miejsce dla megacera, gdyby zwierz ten już podówczas nie wypadł był z tradycyjnej pamięci narodu. Gdy na początku 5 wieku św. Palladiusz i Patrik, wnieśli na wyspę światło Chrystusowej wiary, gasły zwolna ognie dawnych czcicieli słońca w tym kraju, na przeszłości gruzach kiełkowała nowa oświata, kryjąc się w gęstej sieci klasztorów, gdzie się schronili jak do spokojnych asylów szermierze nowej wiary i oświaty, uchodząc przed wirami wielkiej wędrówki narodów, wstrząsającymi zresztą całą Europą. Gdy się nieco tylko uspokoiły wędrówek i olbrzymich wojen fale, z Irlandyi, zwanej teraz „insula sanctorum“, płynęły liczne zastępy apostolskie na wschód.

Już przeto w zaraniu chrześcijaństwa na ziemiach środkowo-europejskich, niezliczona ilość przewodnich nici łączyła „wyspę świętych“ z innymi krajami Europy i prawdopodobnie, gdyby podówczas istniał w Irlandyi tak wybitny twór natury, jakim być musiał jeleń iryjski (sądząc po jego resztkach) sama glossa czasowo osiedlonych tam cudzoziemców, a rozproszonych następnie po świecie, cośby o nim powiedzieć umiała i jakieś bodaj mgliste o nim podania dałyby się odszukać w tradycyi narodów. Ale niema, ni wspomnień, ni jakichkolwiek podań, wskazujących na istnienie ówczesne megacera w Irlandyi, dawno już bardzo przedtem musiały ledz jego zwłoki w bagnach rodzinnej wyspy.

Nie mam wprawdzie sposobu naprowadzenia jakichkolwiek pozytywnych dowodów bardzo dawnej zatraty megacera — i w dzisiejszym stanie wiedzy nikt takowych zebrać nie potrafi, sama jednak teorya o jego historycznej, a nawet bardzo niedawnej egzystencyi, nie może wzbudzić wielkiego zaufania. Jestto w każdym razie wyrób nader sztuczny i spekulatywny. Celem niniejszej rozprawki nie jest wcale stawanie w szranki jakiejkolwiek teoryi — bo to zostawiam kompetentniejszym, przeprowadziwszy zaś tylko kryterium materyału, mającego przemawiać za historyczną i dość późną egzystencyą zwierza, może podkopałem wiarę w tę nader luźną i szarą hypotezę. Urosła ztąd gadanina, nie mająca żadnego praktycznego znaczenia, gdy brakło wątku do wplecenia dawno zwiędłego kwiatu w wieniec naszej dziejowej przeszłości — ale megacer żył kiedyś i na naszej ziemi, przebiegał puszcze tej krainy i wreszcie złożył swe kości w archiwach natury — ztąd to wspomnienie na kartach naszego łowiectwa, jako „donum cordis“ dla pamiątek mrocznej przeszłości tej ziemi ukochanej.

Koza — nie rogacz!

Stałem, jak zwykle, opodal sąsiada —
Sąsiad się składa, strzał pada.
I sąsiad robi gest
Znaczący, że trup jest —

Wkrótce już miot skończony —
Zbliżam się do sąsiada,
On zły i zamyślony
Tak do siebie powiada:
„Tfy“! Dawniej za mych czasów,
Gdy ogary goniły
Nie było tych hałasów,
I gdy „na upadł“ trąbiły
Rogi — to zwierz leżał święcie
Czy w gąszczu, czy na jakimś tam ścieżki zakręcie.

A dziś, co? Linie w lesie, jak „Strassen“
[w Berlinie,
Oczywiście to corso nie nam, lecz zwierzynie.
Wychodzi na mnie rogacz, sam i w pełnym pędzie,
Strzelam, pada, ja pewny, że już leżeć będzie,
Pilnuję dalej — wychodzi nagonka
Z hałasem, ale bez ładu,
Nie widziała, jak twierdzi, ogonka.
Mój rogacz zniknął bez śladu!

Zaciekawiony tem sąsiada zdaniem
Szczerze się farby zająłem szukaniem.
Aż tu przy linii utknąłem... O zgrozo!
Pod kupą liści spotkałem się z kozą!

Andrzej Fredro.



O toku cietrzewi.

Z wielką obawą biorę pióro do ręki, aby rozpocząć polemikę ze znanym naszym ornitologiem hr. L. Starzeńskim, co do czasu toku cietrzewi Hr. Starzeński utrzymuje, że prawdziwy i najlepszy tok jest w maju, kiedy kury już siedzą na jajach — mówi on, że wtedy cyrklem można oznaczyć miejsce, gdzie kogut będzie tokował. Ja zaś wręcz przeciwnego jestem zdania, mianowicie twierdzę, że gdy już niema kur, to i kończy się polowanie. Po czterdziestopięcioletniej praktyce myśliwskiej, przyszedłem do przekonania, że kogut tylko przy kurach tak się roznamiętni, że strzału nie słyszy, a chociaż po strzale poleci, to wkrótce znów na to samo miejsce wraca, bo wie, że kura do niego, choć zdaleka na tok przyleci. Sam na Litwie zabijałem po kilka kogutów jednego poranku. Tu już w Galicyi byłem świadkiem, jak 3-go kwietnia p. Juliusz Cielecki 17 razy strzelił z jednej budki, a cietrzewie dalej tokowały w najlepsze. Pamiętam także u księcia Jana Sapiehy, jak hr. Starzeński dwa razy strzelbę nabijał i do bijących się kogutów strzelał. Zawsze to — powtarzam — było w kwietniu przy kurach. To też wtedy warto widzieć tok, bo jak kura przyleci, to koguty, jakby na komendę, z ogromnym szumem i czykotem zrywają się i zdaje się, że wszystkie do niej polecą. Jednak tak nie jest, gdyż spadają one na swoje miejsca, tylko roznamiętniony bełkot i czykanie idzie w przyspieszonem tempie; oto jeden bliżej kury z głową spuszczoną i ogonem jak wachlarz rozpuszczonym, podsuwa się do niej, i zdaje się, że już ją dopadnie, gdy wtem z drugiej strony kilku zazdrośnych pędzi do niego, uderza, odbija i zaczyna się prawdziwa bitwa, bełkot urywany, wściekły, wodzą się za łby, krew się leje, a uderzenia skrzydeł tak silne, że o kilometr można szum skrzydeł najwyraźniej słyszeć. To już jest prawdziwy tok! Wtedy możesz i kilka razy strzelić i nie jednego koguta zabijesz, a mimo to inne i strzału nie usłyszą i trupa nie widzą i byle się z budki nie pokazać, to wojnę toczyć będą dalej.

Cóż to za rożnica toku w maju bez kur. Wprawdzie cietrzewie przelatują jak zwykle przed świtem na swoje miejsca i jak zwykle zaczyna się czykanie, a potem śpiew, ale i ten spiew już jest jednostajny i smutny, bo kogut wie że jego pani już do niego nie przyleci, a nawet i spiewu nie usłyszy, bo gdzieś tam o mil kilka zaszyta w gąszcz siedzi na jajach. A jaki cietrzew wtedy ostrożny i chociaż tokuje -- to często spiew przerywa i z głową do góry podniesioną ogląda się na wszystkie strony i kiedy jeszcze ciemno i strzelić nie można, bez żadnej przyczyny zrywa się i leci na drzewo tokować. A jeśli tylko raz strzał usłyszy to uleci i już nie wróci. Na Litwie mówią, że jak brzoza się rozwija to tok się kończy to mniej więcej znaczy w maju, jak już kur niema.

Ja pierwszy raz byłem na toku w 15 roku życia; wtedy polowałem na Polesiu i Litwie, potem z Drezna jeździłem na Szlązk pruski, a teraz poluję w okolicach Brodów i Rawy ruskiej, polowałem także w maju, a nawet i w czerwcu, bo cietrzewie tokują aż do lipca, ale to już odzywaniem się, a nie tokiem można nazwać, do rzadkiego też wypadku zaliczyć można, jeśli w tym czasie zabiję cietrzewia — i to najczęściej w lot.

Za młodu strzelałem w hurt, i nieraz na jeden strzał i dwa położyłem, a parę razy zdarzyło się, że i kura padła, ale to było na Litwie i na to wtedy nie zważano; teraz zawsze wybieram jednego, który najczarniejszy i ma największe korale, a jak dwa jednego poranku zabiję, to już jestem zupełnie zadowolony.

Może ze wszystkich polowań tok najwięcej mi robi emocyi, bo to i czar wiosny do tego się przyczynia. Rozpisywać się nad tem nie będę, odsyłam łaskawych towarzyszy do cietrzewia p. Spausty, który mistrzowskiem piórem te cuda natury opisał — bo też to prawdziwie jest cudownem! Z tem wszystkiem zawsze powiem, że bez strzelby na tok bym nie poszedł — ale widziałem coś bar-

dzo ciekawego, jak prawdziwy gitarzysta, nie doczekawszy się dnia strzelił do tokujących cietrzewi — co mnie bardzo ucieszyło, bo widocznie szlachetna pasya myśliwska przemogła poezyę.

Hr. Starzeński obiecał mnie zabrać w maju na tok cietrzewi do siebie do Dmytrowa. Bardzo się cieszę, że zobaczę tę wyjątkową okolicę, gdzie najlepszy tok bez kur się odbywa.

W Brodzkiem już od dwóch tygodni tok się zaczął i pomimo wichru, deszczu, śniegu, a w nocy 4 stopni mrozu, cietrzewie w najlepsze tokują. Bociana jeszcze nie widziałem, ale słonki już są od 16.

Prosiłbym łaskawych towarzyszy, którzy mają u siebie toki cietrzewi. żeby napisali do *Łowca* w jakim czasie u nich najlepiej grają koguty.

Dnia 25 marca 1897.

Marceli Tyszkiewicz

DZIKIE GOŁĘBIE.

(Wspomnienie z młodości).

Napisał

ABGAR SOŁTAN.

[Ciąg dalszy]

Później zaczął się mnie rozpytywać, jak jest u nas w domu, jaki sposób życia, jaka służba i wszelkie zwyczaje. Znać mu się to podobało, com mu opowiadał, bo podnosząc się trochę i spoglądając mi w oczy rzekł:

— To już potrzeba mego psiego szczęścia, żeby się wybrać na ferye tak daleko i trafić na taki pański dwór... Ja tu nie mam co robić. Z lokajami mi się nie chce rozmawiać, a z państwem nie mam o czem. Ten nawet nasz Pomian w Rydze był całkiem inny... Ot! był dobry chłopak, zwykły student, kolega. A tu musi być „jaśnie panem“, bo go od świtu do północy tem jaśnie państwem karmią... Wiesz z tego, co mówisz, zdaje mi się, żeby mi się u was bardzo podobało.

— To jedź z nami — przerwałem mu pospiesznie — mama moja będzie bardzo rada powitać cię w naszym domu. Twego ojca ogromnie ceniła, mamy u nas wszystkie jego książki.

— Nie wiem, namyślę się — odrzekł i znowu opuścił się na dno łodzi.

Nie traciłem na darmo czasu. Kułem żelazo póki było gorące. Wszystkimi możliwymi sposobami, starałem się namówić go, żeby do nas na jakiś czas przyjechał. Słuchał słów moich na pozór obojętnie i świszcząc przy tem jakąś dziwną aryę. Gdym wyczerpał już zupełnie cały zasób mych namów odrzekł z pewną leniwą niedbałością:

— Ty mnie nie namawiaj, bo mnie namawiać nie potrzeba, chce mi się gwałtem z tąd wyrwać, ale boję się, że nie wypada... Widzisz: Pomian zabrał mnie tu z Rygi, przywiózł kilkaset mil, zapłacił za mnie drogę... Może chce, żebym go bawił przez wakacye, może chce, żebym się z nim uczył; jak pojadę do was, to gotów się rozgniewać i nie zapłaci mi drogi z powrotem, a co ja później zrobię?... My jesteśmy bardzo ubodzy.

Zacząłem mu znowu przedstawiać, że tego rodzaju obawy nie mają sensu, że robi niemi wielką krzywdę Andrzejowi, który jest dobry i serdeczny chłopak i niczem nie zasłużył na takie posądzenie.

Nagle furknęło coś w trzcinie tuż obok i wnet z pluskiem wpadło znowu do wody. Kazik zerwał się ze swego legowiska, jakby go prąd elektryczny przeszedł: oczy zaświeciły mu jakimś niezwykłym blaskiem, ręce trząść się zaczęły, a dolna warga drżała mu bezprzestannie jak w febrze i oddychał pospiesznie, słyszałem nierówne, gwałtowne uderzenia jego serca.

— Słyszałeś, podlot się zerwał i znowu zapadł — rzekł do mnie przyciszonym głosem: Ich tu jest masa, może kilkaset, wieczorem po kilkadziesiąt kaczek stadami leci na ściernie... Nastrzelałbym ich bez liku, cóż, kiedy nie wolno. Zrazu mi gadali, że strzelby nie ma... Zacząłem się rozpytywać, powiada mi Eliaszko, kozak, że mi strzelbę da. Tymczasem dowiedział się o tem ten utrapiony kamerdyner Dobrowolski i zapowiada mi ta orangutańska dusza: „proszę panicza, muszę przestrzedz, że u nas w parku nie można strzelać, bo jakby starsza jaśnie pani strzał usłyszała, toby z pewnością umarła“. Niech mu będzie i tak, trudno strzelać, jeżeli od samego huku ma jaśnie pani umierać, żeby to taką dobrą naturę zwierzyna miała.

Machnął ręką i znowu leniwie położył się na dno czółna.

— A ty strzelbę masz? — spytał po chwili.

Odpowiedziałem mu, że wprawdzie strzelby nie miałem, bo u nas nikt nie miał w skutek zakazu policyi, ale po przeciwnej stronie Dniestru mieszkał „odstawny“ kapitan Gawlikowski, plantujący tytoń turecki, a ten ma kilka strzelb i zawsze gotów mi pożyczyć.

Myśl o polowaniu i sukcesach myśliwskich ogromnie mi się uśmiechała. Przypomniałem sobie teraz dokładnie, że panna Jadwiga ostatniej niedzieli na probostwie z uwielbieniem opowiadała o jakiejś książce, w której były opisane przygody myśliwskie w dalekich podzwrotnikowych krajach pewnego angielskiego lorda... Z opowiadania tego wywnioskowałem, że muszę koniecznie zdobyć sławę myśliwską, potem zdobycie serca panny Jadwigi będzie poprostu drobiazgiem. Zapaliłem się przeto ogromnie do zamiarów Kazika i oświadczyłem mu stanowczo, że musi jechać do nas, że dostanę dlań strzelbę od kapitana i będziemy strzelali od rana do wieczora. Zagłębiwszy się we własnych myślach rzekłem prawie do siebie.

— Pierwszą upolowaną zwierzynę zawiozę w prezencie dla panny Jadwigi.

— Wiwat! — krzyknął Kondratowicz — to masz już pannę Jadwigę... Niech żyje panna Jadwiga! Jakaż to sentymentalna ziemia to Podole, każdy z was tu musi mieć

jakiś ideał, do którego wzdycha i wyje jak pies do księżyca.

— Proszę cię! — zawołałem porywczo.

— Nie masz o co prosić... Nie rozumiem po co się masz obciążać niepotrzebnym sentymentem, z którego nic nie może być... Masz lat siedmnaście, twoja Jadwiga ma pewno ze szesnaście... Będziesz do niej wzdychał i wiersze piasał ze cztery lata, a później ona pójdzie za mąż, a ty będziesz rozpaczał... Ja wolę dziewczęta i strzelbę, przynajmiej zawodu nie doznam żadnego.

Ten sposób pojmowania życia gniewał mnie wówczas niesłychanie, nie miałem jednak odwagi sprzeciwić się słowom chłopaka, który w tak krótkim czasie potrafił mnie opanować zupełnie. Wreszcie dowodzenie jego było tak logiczne, że nie mogłem mu żadnego zarzutu uczynić, zagryzłem tylko wargi i zamilkłem rozgniewany.

Dzień tymczasem miał się ku schyłkowi. Jaskrawe lipcowe słońce chowało się pospiesznie za olbrzymie drzewa parku; zamek świecił olśniewająco setkami wysokich, gęstych okien, a jego szare mury przybierały rumiane jakieś odcienia; na wschodzie z pośród niebotycznych topoli wyłaniał się księżyc na pełni, ogromny, czerwony, opasły, niby Niemiec piwowar. Żaby grały hejnał wieczorny, aż powietrze drżało od siły ich głosów. Z pośród trzcin i szuwarów porywały się małemi stadkami kaczki i ciągnęły gdzieś w dół ku polom.

Obaj milcząc rozkoszowaliśmy się tą uroczą pięknością letniego wieczoru. W tej chwili zapomniałem zupełnie o słowach Kazika, które niedelikatnie dotknęły me rozmarzone serce, a tylko czułem dlań wdzięczność, że mnie namówił do tej wycieczki.

— No, czas wracać — zawołał nagle mój towarzysz, wieczór się zbliża, najdalej za kwandrans będą pierwszy raz dzwonić, a starsza pani nie lubi jak się kto spóźni... Dostałoby się tobie i mnie... W drogę!

Zerwał się ze swego legowiska, niezwykle zgrabnym ruchem wyrwał wiosło z dna i za chwilę wydostaliśmy się na czystą powierzchnię stawu. Tu, jakby chcąc się popisać swą wprawą, zamiast płynięcia wprost do groty, skierował się w przeciwną stronę i z szybkością strzały dążył do grobli, nie opodal od niej zawrócił i opłynąwszy cały olbrzymi staw w przeciągu kwandransa, dobił szczęśliwie do przystani, w tej właśnie chwili, w której dzwonek z wieży zamkowej ogłaszał wszystkim, że za 10 minut będzie podana wieczerza.

Gdyśmy się zbliżyli do zamku, całe młode towarzystwo zebrane było na dużym tarasie i zabawiało się grą w wolanta. Wmieszaliśmy się tak zgrabnie, że nawet moja babka nie dostrzegła tego, iż dłuższy czas nie należeliśmy do towarzystwa. Ze zjawieniem się Kondratowicza zapanowała odrazu weselsza atmosfera i rozlegać się zaczęły wesołe śmiechy panienek... Nieporównanie umiał udawać cudackie podrygi Poraj-Rozena, który dla przypodobania się pannie Jadwidze Pomianównie brał udział w grze, udawał młodego, chciał swe stwardniałe ruchy uczynić zgrabnymi i elastycznymi i stawał się poprostu zupełnie śmiesznym.

Jadwinia nie gniewała się zupełnie za te żarty, tylko Aniela, która miała dobre serce i litościwą duszę, zbliżyła się do Kazika i grożąc mu nieznacznie palcem szepnęła:

— Ej panie Kondraszku, tak się nie godzi, dlaczego się pan tak wyśmiewa z pana Poraja.

Lecz on nagle zrobił swą zwykłą, potulną minę, niewinnego baranka i odpowiedział także szeptem.

— Proszę pani, nie wiem co mi się stało, boję się czy nie dostaję podagry, nóg w kolanach zupełnie zginać nie mogę. Oj! oj! oj!

I złapał się za kolano.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYE.

Podkamień 25. kwietnia.

[Kilka uwag — Ciąg słonek. — Tok cietrzewi. — Ochrona cietrzewia. — Kilka słów o nowej ustawie łowieckiej.]

Z otwartemi ramionami powitał nasz świat myśliwski przybycie swego ukochanego przyjaciela „*Łowca*“, który z powodu rozmaitych niepowodzeń materyalnych i innych, tak swój pochód opuścił, iż zamiast w lutym, aż w kwietniu dopiero zjawił się pośród nas. Opóźnienie to nie z jego, ale raczej z naszej nastąpiło winy, żalu więc do niego mieć nie mamy prawa. Wśród tej rozterki przyszły los naszego przyjaciela srogo był zagrożony i już groziła mu zagłada, ale na szczęście znalazły się poczciwe serca, które podały dłoń do ratunku i tonącego wyrwały z fatalnej toni.

Witaj więc stary, ukochany druhu! Przybywasz znów, choć spóźniony do naszego myśliwskiego grona.

Gość więc już stale pośród nas — drogi przyjacielu! Czuwaj dalej nad łowieckiemi sprawami w kraju, niech nie wygaśnie w twem łonie ów Znicz, który w niem płonął dawniej. Nieś, jak zawsze, wysoko sztandar łowiectwa polskiego — jak to umiałeś tak znakomicie czynić dotąd, a przedewszystkiem nie opóźniaj się już w swoim pochodzie, bo pamiętaj, że nasze grono myśliwskie ciągle tęskni za tobą.

Schodząc już z pola jako strzelec i jako pisarz, nie zdołam*) już zapewne, jak dawniej, służyć mojem piórem i doświadczeniem, ale jeszcze z przyzwyczajenia udaję się do nowej redakcyi z prośbą o gościnność dla tych słów kilku w szpaltach któregoś z przyszłych numerów *Łowca*. Przedewszystkiem chciałbym odpowiedzieć na wezwanie, umieszczone w numerze z lutego, co do tegorocznego wiosennego ciągu słonek, chociaż w tym kierunku bardzo tylko drobnemi wskazówkami przysłużyć się mogę. W mojej okolicy ciąg był nadzwyczaj słaby, z powodu niepomyślnej temperatury, a rozpoczął się nadzwyczaj wcześnie.

U mnie, w dalekim rewirze, w którym z powodu złych dróg, polowanie było dla mnie niedostępnem, leśniczy zabił 4 słonki na ciągu w dniach 21. i 22. marca, a strzelał jeszcze do kilku. Wiatr był przeważnie północno-wschodni, a deszcz padał niemal codzień. W innym, bliższym rewirze

*) Stanowczo protestujemy. Znakomite pióro autora tej korespondencyi zawsze jest nam jak najbardziej pożądanem i przynosi chlubę redakcyi i pismu naszemu, iż tak wybornego pisarza może zaliczać do grona swych współpracowników. [Przypisek redakcyi „Łowca“].

* * *

Piękna moja, pod me pióra
Tul się prędzej, tul,
Nim nam słońce skryje chmura,
Nim z nią przyjdzie ból...

Tul się prędzej, ty ptaszyno,
Serce rwie się do cię —
Prędzej, prędzej, zanim zginą
Rosy w słońca złocie.
Serce moje niosę w darze,
Bom jest twym śpiewakiem,
Tobie stawiam w niem ołtarze,
Pod twym walczę znakiem.

Więc, królowo, pod me pióra
Tul się prędzej, tul,
Wkrótce może nadejść chmura,
Z nią wejść w serce ból.

A. J.



PIEŚŃ MIŁOSNA.

Cietrzewi tok.

Już czas!
Myśliwcze, już wabi las!
Szybko porywaj za broń
I goń do lasu, goń —
Bo jeszcze czas!
Bo jeszcze ciemne niebios sklepienie,
Bo jeszcze nocne skrywają cienie,
Las, co drży —
Śpiew jeszcze tu nie gości,
Ten tkliwy i miłosny,
Jeszcze w objęciu wiosny
I miłości
Ziemia śpi....

*

Ostrożnym bądź!
Bo ptak, jak szczęście, jest płochliwy.
Ulata na najlżejszy szmer,
A tylko gałązkę trąć,
Uleci wnet nad niwy,
Do innych zemknie ci sfer, —
Cicho więc suń wśród drzew,
Wnet ptaka rozbrzmi śpiew,
Miłosny ten i tkliwy....

*

Ot — złoty brzask
Już pruje cień —
I słońca blask
Już budzi dzień.
Korony drzew
Już złocą się —
U dołu krzew
Wciąż jeszcze w śnie.
Tam promień jakby z drzew kapał,
Ot... tam polanka —
Tam zabrzmi śpiew
Ptaka-kochanka....
Myśliwcze, hamuj twój zapał,
Zachowaj zimną krew,
Bo jeszcze tylko krok —
I już.... cietrzewi tok....

*

Witają cudne tony
Już ze snu dzień zbudzony,
Witają ją, co jak w uwięzi
Pod czarem siedzi na gałęzi....
Jakże wśród cienia drzew
Rozkosznie brzmi ten śpiew!
Jakże ją wabi do się w gości!
Ona, wstydliwa, o miłości
Zda się, że wiedzieć nie chce, nie,
Chociaż się do niej serce rwie!

*

Jakże rozkosznie, z skargą jakoby,
Mówią te tony o dniach żałoby,
O bólu, żalu i o łzach —
Szczęście w rozkoszy drży tam
trwodze,
A mówi każdy dźwięk niebodze
O pięknych, niezniszczonych snach....
I ten, kto tego śpiewu słucha,
Niechaj zrozumie jego ducha,
Szyderstwo niech mu zniknie z warg!
Bo to perełki są tęsknoty,
Zrodzone z bólu, z łez heloty,
W duszy tak pełnej skarg....

*

Miłości ty,
Jakże twój ślad
W każdy ten ton
I dźwięk się wkradł!
A w każdym dźwięku, w każdym tonie
Jakaż tam mnogość uczuć płonie —
Szczęście i rozkosz, ból i żal...
Jakież się snują uczuć wstęgi,
Do jakiejż rosną już potęgi —
I płyną, płyną, płyną w dal...

*

Lecz oto wojennych trąb
Rozlega się ton szeroko,
Snać pójdzie oko za oko
I ząb za ząb!
Wojna!
To rywal nadpływa —
A ona czeka spokojna,
I zda się nawet szczęśliwa,
Że o nią walka się toczy.
Z rozkoszy przymyka oczy,
Niech zapaśnicy bój wiodą —
Ona zwycięzcy nagrodą!
Niech zatem walczą szermierze,
Jeden ją przecież zabierze!

*

Zazdrości syknął zgrzyt....
Walczą zacięcie...
Walą skrzydłami,
Drą pazurami,
W rywala czub
Uderza dziób,
Rubiny płyną....
Czekaj, ptaszyno, —
Już jeden, walki syt,
Wygwałtownym skręcie
Nad zwoje wrzosu
Uniknął ciosu,
Co niósł mu zgon!
A że go wstyd,
Chrapliwy wydał ton.
Wściekłości zgrzyt,
Co uczuć zrywa tkanki....
Pobity — już bogdanki
Nie ujrzy nigdy, nie!
Kto się niemocą kala,
Ten winien dla rywala
Oddać krew, życie swe!

*

Z dumą miłości szermierza
Zwycięzca w tryumf uderza.
I oto cezar natchniony
Przecudne wyrzuca tony,
Piękność bogini opiewa.
Ton płynie czysty....
...Z za drzewa
Śmierć jednak zdradziecko czyha...
Pij, pij z rozkoszy kielicha
Ty piewco miłości!....
....Niedługo
Tak czystą popłynie śpiew strugą!

*

Myśliwcze, nadeszła już chwila!
Niech broń się ostrożnie wychyla,
Mierz dobrze, bo chwalca bogini
Wnet koniec swej pieśni uczyni!
A teraz gdy jeszcze wydaje wciąż tony,
Ma oko mgłą zaszłe i słuch ma
[stępiony —
W świtania uroczej tej ciszy
On tylko miłością już dyszy,
Nie widzi nic,
Nie słyszy nic...
Nim chwila minie,
Uleci w dal...
Już ciszej, już milknie, już ginie...
Pal!

*

I runął śpiewak...
A w sercu się mieści
Bryłka ołowiu...
Gdy padał, boleści
Zgonu on nie czuł...
Choć serce na ćwierci
Darła mu kula —
On w godzinie śmierci
Jeszcze wydawał miłości ton tkliwy...
Szczęśliwy!

Antoni Jastrzębiec.

zapolowałem 25. marca; przez dzień cały, przeszukawszy znaczne obszary, jedną tylko ruszyłem słonkę, a ciągu już wcale nie było aż do dnia 8. kwietnia, do dnia, w którym wyjechałem na tok cietrzewi. Od lat 40 pierwszy raz mi się wydarzyło, że w tym rewirze ani jedna słonka przez całą wiosnę nie przeciągnęła. Straż leśna co wieczoru ciągu pilnowała, więc gdyby choć jedna słonka ciągnęła, byłaby ją niezawodnie spostrzegła. Żadnej atoli nie widziała.

W drugim rewirze także, oprócz tych wyż wzmiankowanych ciągów, żadnych już później nie było. Pominę więc słonki i wolę o mojem późniejszem, uroczem polowaniu wspomnieć i przyznać się do czegoś, co się wydać może dziwactwem podeszłego wieku. Tok głuszca i cietrzewia jest dziś już moim wyłącznym, myśliwskim ideałem i gdy nastanie pora toków, dręczy mnie jakiś ciągły niepokój, każdy dzień nie spędzony na tych łowach, liczę za stracony i radbym go wykreślić z mego życia.

Obznajomiony od lat tak wielu z wszelkiego rodzaju łowami, polując na rozmaitą zwierzynę — jak to mówią: od „lwa do skowronka“, tok głuszca i cietrzewia zawsze na pierwszem stawiam miejscu i dla niego wszelkie inne polowania gotów byłbym poświęcić. Wyznaję, że to moje zamiłowanie do tego rodzaju łowów, ma jakiś dziwnie antimyśliwski charakter; zabijanie bowiem zwierzyny, tu podrzędną odgrywa rolę. Badanie obyczajów ptactwa i rozkoszowanie się widokiem tych ciekawych igrzysk — oto cel główny. Dlatego to nieraz cały poranek przesiaduję w budce, z binoklami przed oczyma, jakby w loży podczas baletu, a nabita iglicówka bezczynnie leży koło mnie, chociaż czarni baletnicy około budki pląsają. Wskutek tego dziwacznego zamiłowania i tego polowania, że tak powiem, platonicznego, od lat przeszło dwudziestu staram się wykorzystać każdy prawie dzień cietrzewiowego toku i zbieram notatki co do godzin rozpoczynających się igrzysk i działających na nie wpływów atmosferycznych. Dzięki uprzejmości p. starosty Walerego Barańskiego w Dolinie, dzierżawiącego tam znaczne obszary pięknych kniei, obfitujących w cietrzewie, a pierwszorzędnego myśliwego, tej wiosny od 10. kwietnia niezwykłej na tokach użyłem przyjemności i załączam tu odpis zrobionych tam notatek: 11. kwietnia na borach dolińskich, po trzydniowej słocie, poranek pogodny bez wiatru. Od godziny 3. daremnie oczekiwałem w budce rozpoczęcia toku. O godzinie 4. minut 10. dopiero pierwszy kogut zasyczał, w chwili, gdy już straciłem nadzieję możliwości toku w tym dniu, nigdy bowiem w życiu nie pamiętam tak późnego rozpoczęcia igrzysk. Do kilku minut gra rozpoczęła się na dobre i to w niewidzianych rozmiarach. Całe bory naraz zabrzmiały — nie był to już śpiew, ale coś podobnego do nieustającego skrzekotu żab. W przybliżeniu nawet oznaczyć nie śmiem, ile kogutów tam tokować mogło — ale, niestety, wszystkie na borach, a budka moja była postawioną na łące — żadnego więc nie widziałem. Gdy słońce już zeszło wysoko, przekonałem się, że czekanie w budce daremne, puściłem się więc w bory na podchód. Zaraz zabiłem na znaczną odległość porwanego koguta, a kilka innych jeszcze bez skutku podchodziłem. Powróciłem jeszcze do budki i przypatrywałem się długo odlatującym z borów w różne strony cietrzewiom. Oświetlone promieniami wschodzącego słońca widowisko było czarowne. Czarne ptactwo, jak roje motyli, unosiło się nad karłowatemi sosenkami, okrywającemi te bory. Nademną jednak żaden już nie przeleciał. W innem miejscu na dzień następny wystawiłem budkę, tam, gdzie dziś tok był najsilniejszy.

12. kwietnia. Tok rozpoczął się jeszcze o 5 minut później niż wczoraj. Gra jeszcze wspanialsza, ale śpiewacy zajęli znowu całkiem inne miejsca, jak to zawsze bywa, gdy jeszcze tok nie ustalony. Kury przelatywały co chwila, gdakając, niepokoiły tokujące koguty i zabierały je czasem z sobą. Przed moją budką znowu toku nie było. Na wierzchołku olchy rosnącej na strzał odemnie usiadł nareszcie przeciągający kogut, spuściłem go z łatwością. Stadko 13 kur zaraz potem w przelocie otarło się prawie o moją budkę. Poranek piękny, ciepły.

13. kwietnia. W tej samej pozostałem budce. Niebo pogodne, lekki przymrozek. Już o godzinie 3 minut 20 rozpoczęła się gra. Dziwne, niezbadane są kaprysy tego ptactwa, gdy tok jeszcze nieustalony; ich zegarki tak są jeszcze źle naregulowane. Dziś tok odbywa się w innem miejscu, niż w dniach poprzednich, śpiew jeszcze silniejszy i donioślejszy, ale koło mojej budki znów ani jednego nie ma koguta. Istna rozpacz! ta ciuciubabka jest nieznośną! Kilka kur tylko przelatuje bardzo blisko, ale żaden kogut. Napróżno przez binokle badam cały widnokrąg, nic nie widać! Powiedzieć tylko mogę, jak ów organista w Krakowiakach i Góralach: „*Multum audi, nihil vidi*“. Moja poczciwa olcha tylko ratuje mnie znów od klęski, bo po wschodzie słońca znów na jej wierzchołku usiadł wreszcie kogut. Spadł z niej od strzału, podobnie jak wczorajszy. Po chwili usiadł na tem samem miejscu jastrząb, widocznie badacz cietrzewiego toku i za karę też poległ obok mojej pierwszej ofiary. Nadzwyczaj byłem uradowany z ukarania tego szkodnika.

Niestety! Wszystko ma swój kres i te czarowne miejsca opuścić musiałem, uszczęśliwiony zdobyczą i nabytemi nowemi doświadczeniami. Święta Wielkanocne już przeszły i teraz dopiero na dalszą wybieram się wyprawę do ziemi Bełzkiej. Wtedy dopiero będzie można się spodziewać pewnych, ustalonych toków, gdyż dopokąd kury nie zasiędą na gniazdach, nie jest to właściwy tok jeszcze, tylko przygrywka, nie jest to jeszcze opera, ale uwertura tylko.

Gdybym wiedział, że nie znudzę łaskawych czytelników moją paplaniną, przysłałbym dalsze moje notatki z przyszłych polowań, ale gdy już w zeszłym roku opisy toków w Poddębcach i Dmytrowie w *Łowcu* drukowane były, lękam się, iż to byłoby tylko powtórzeniem tego, co się już napisało, a tylko panu Jowialskiemu wolno mówić: Słyszeliście? — więc słuchajcie! A przecież, choćbym miał przypomnieć pana Jowialskiego, to w każdym razie powtórzę rzecz nieraz już powiedzianą, bo zdaje mi się, iż ona nigdy dość powtarzaną być nie może. Idzie mi bowiem o zwrócenie pilnej uwagi świata łowieckiego na ochronę cietrzewia, tego szlachetnego ptaka, tak do chowu wdzięcznego, a którego rozmnożenie w naszym kraju w ostatnich latach tak pomyślny wydało rezultat. Pióro, o wiele udolniejsze od mojego, bo pióro Władysława Spausty, zajęło się już tą sprawą, w prześlicznej monografii cietrzewia w kilku artykułach *Łowca*. Ustawa nasza łowiecka, zdaje mi się, nie dość go jeszcze ochroniła i czas ochrony nie dość jest ograniczony — tak, iż wolno w lecie na młode wypiory polować, przyczem zabijanie kur jest nieuniknione, co przecież ustawa stanowczo zabrania. Że nasza ustawa łowiecka nader jest wadliwą, to każdy doświadczony myśliwy dobrze czuje. Owo zbyteczne zaopiekowanie się z jednej strony ptakami przeciągającemi i innemi żadnego związku z myśliwstwem niemającemi, z ujmą opieki dostatecznej nad stałymi obywatelami kraju, jakoto: głuszcem, cietrzewiem, jarząbkiem, kuropatwą — są to błędy kardynalne. Szkoda, że u nas ci, co piszą ustawę, noszą frak, a nie kurtkę my-

śliwską, a jej paragrafy układają przy zielonym stoliku, a nie w polu lub w kniei. Czy nowa ustawa okaże się praktyczniejszą? Nie wiem! — ale dość pesymistycznie zapatruję się na naszą przyszłość w tym względzie; lękam się bowiem, by te nowe reformy i wynalazki nie okazały się tak pożytecznymi i dobroczynnymi dla kraju, jak n. p. wynalazek piątej kuryi w parlamencie. Sądzę więc, iż byłoby zadaniem świata łowieckiego, te błędy, nie bacząc nawet na literę prawa, gdzie się da, naprawić.

Leopold hr. Starzeński.

Romanów w powiecie bobreckim 20 kwietnia.

[Ciąg słonek.]

Pierwszą słonkę spostrzeżono u nas dnia 18 marca, a najlepszy ciąg ich był 22 marca. Powietrze było przeważnie słotne, a najładniejszy ciąg dnia 22 i 23 nastąpił bezpośrednio po deszczu, przy wietrze północno wschodnim, niezbyt silnym. Jaki był stan ciągnących ptaków, nie można było nic skonstantować; gdy był wieczór cieplejszy ciągnęły wolniej, gdy było zimno i wiatr silniejszy ciągnęły szybciej. U nas prawdopodobnie ciągnące ptaki niedługo się zatrzymywały, gdyż gdy 1 kwietnia urządziłem polowanie z nagonką, ruszono tylko 5 sztuk, podczas gdy na ciągu wieczorem każdy ze strzelców widział 5 — 6 sztuk, przeważnie nie tych samych; a więc musiało ich przeciągnąć co najmniej sztuk kilkanaście. W okolicy najbliższej ubito na ciągu 14 sztuk, z nagonką 2 sztuki. Ostatnią słonkę widziano 6 kwietnia, słyszano zaś wieczorem 10 kwietnia.

Adam Madeyski, zarządca lasów w dobrach hr. Romana Potockiego.

Bachórzec w pow. przemyskim 17 kwietnia.

[Ciąg słonek.]

Pierwsze słonki w dość znacznej liczbie spostrzeżono u nas dnia 28 marca i w dniu tym był ciąg główny, gdyż później już tak licznie ciągnących słonek nie widziano. Stan powietrza podczas całego ciągu był dość ładny, przeważnie bez wiatru. W dni spokojne ciągnęły słonki liczniej, w wietrzne słabiej, a najsłabiej, gdy wiał wicher zachodni. Ptaki w ogóle były żwawe i prawdopodobnie nie zatrzymały się nigdzie, gdyż wzięliśmy kilka miotów a ptaków wcale nie spotkaliśmy. Ubito u nas słonek tylko 10.

Jan Knobloch, leśniczy.

Starebrody w pow. brodzkim 22 kwietnia.

[Ciąg słonek — Tok cietrzewi.]

W naszej okolicy pierwszy ciąg słonek zaczął się w połowie marca. W Podhorcach 17 marca zabito dla księcia namiestnika 11 słonek z nagonką. Ciąg był jeszcze słaby, bo wicher z deszczem przeszkadzał romansom. Ja dopiero 23 marca pierwszy raz pojechałem do pana Pauszy do Rozwożna, gdzie z nagonką polowaliśmy. Trafiliśmy na śliczny ciąg. Strzałów padło do 60-ciu, a słonek 14-cie n. b. w pięć strzelb i w jeden dzień.

Słonki były widocznie zmęczone, bo niechętnie się zrywały i zaraz zapadały.

Następnie w Kontach polowałem jeden dzień z nagonką w cztery strzelby, ale już było słonek mało. Widziano ich tylko pięć i pięć zabito. W wilję dnia tego byłem tam na ciągu. Ciąg był śliczny, każdy z nas po kilka razy strzelił, a słyszeliśmy trzydzieście parę strzałów zaraz obok w Ożydowie. Przez tych kilka dni, przez które polowaliśmy w Kontach, pogoda była śliczna, a dnia 17 marca było 17 stopni w cieniu, — właśnie kiedyśmy z nagonką polowali. — Następnych dni był znowu deszcz i silne wiatry wschodnie. Krótki tu ciągnęły słonki, bo i cichych i ładnych wieczorów mieliśmy mało, a przytem drogi nie doprzebycia. Ja to tak lubię! A mam prześliczne ciągi o dwie mile stąd koło Rudy, — ale ani razu tam nie byłem z powodu złej drogi.

Tok cietrzewi zaczął się tu z początkiem marca. Szkoda tylko, że zły czas przeszkadzał jeździć na nie, chociaż z parę razy wybrałem się i z dobrym rezultatem. Teraz po ruskich świętach Wielkanocnych jadę do Łopatyna i jakie są tam toki, doniosę w przyszłym numerze.

Delegat brodzki *Marceli hr. Tyszkiewicz.*

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

W Radziechowie w dobrach marszałka krajowego JE. hr. Stanisława Badeniego polowano w styczniu br przez cztery dni, dnia 20, 21, 22 i 23. Ubito sztuk 140; strzałów padło 405. Dnia 20 stycznia polowano w rewirze Berbeki: strzałów padło 93; ubito 9 dzików, 4 lisy, 4 rogacze, 2 zające, razem 19 sztuk. Dnia 21 stycznia polowano w rewirze Pukaczów; strzałów padło 148; ubito 4 dziki, 3 lisy, 27 rogaczy i 24 zajęcy, razem 58 sztuk. Dnia 22 stycznia polowano w rewirze Nieznanów: strzałów padło 73; ubito: 10 dzików, 3 lisy, 9 rogaczy, razem 22 sztuk. Dnia 23 stycznia polowano w rewirze Połoniczna: strzałów padło 91; ubito: 2 dziki, 10 rogaczy i 29 zajęcy, razem 41 sztuk. Razem przeto ubito w tych czterech dniach 25 dzików, 10 lisów, 50 rogaczy i 55 zajęcy.

W Bachórcu w pow. przemyskim w dobrach hr. Ignacego Krasickiego zabito w ubiegłym sezonie myśliwskim: 2 dziki, 3 rogacze, 27 zajęcy, 2 słonki, 29 kuropatw, 1 przepiórkę, 28 lisów., 2 borsuki, 1 kunę, 2 łasice, 9 psów, 48 kotów, 19 jastrzębi, 128 wron, 81 srok. Gniazd szkodników zdjęto 19.

W Barszczowicach pod Lwowem zastrzelono w zeszłym miesiącu od dawna niewidzianego w tamtejszych lasach cietrzewia, oraz nader rzadką u nas w kraju sowę uralską.

Z Białej donoszą nam, iż nadleśniczy p. H. Noseck zastrzelił w rewirze Baumgärtel pod Bielskiem głuszcza — pierwszego od dwudziestu lat w tamtejszym rewirze.

W dobrach Nowosiółka w pow. podhajeckim, w rewirze Sulawa, wynoszącym 698 hektarów ubito w roku 1896: 4 dziki, 3 rogacze, 31 zajęcy, 3 słonki, 2 kwiczoły, 3 borsuki, 2 lisy, 1 kunę, 4 psy, 28 jastrzębi, 33 sojek, 8 sów, 7 wron, razem 128 sztuk.

Kronika.

Lista delegatów powiatowych. *W powiecie podgórskim:* Władysław Słapa, właściciel dóbr w Lusinie. poczta Swoszowice Feliks Sandos, właściciel dóbr w Solomowinach p. Wieliczka; Teodor Leśniak, właściciel dóbr w Wróblewicach poczta Podgórze *W pow. tarnopolskim*: Marjan Maniewski, właść. dóbr w Bajkowcach p. Tarnopol.

Zapytanie. W wielu powiatach w naszym kraju, przeważnie we wschodniej Galicyi, żydowscy właściciele dóbr ziemskich wydzierżawiają swe polowania bezpłatnie rozmaitym urzędnikom władz politycznych i skarbowych. Sprawa ta omawianą była na jednem z ostatnich posiedzeń wydziału galicyjskiego Tow. łowieckiego i wszyscy mówcy, zabierający głos w tej kwestyi, doszli do przekonania, że podobne bezpłatne przyjmowanie prawa polowania w lasach i na gruntach właścicieli żydów, uwłacza godności urzędników państwowych i pośrednio przyczynia się do tego, że przepisy ustawy łowieckiej nie są ściśle przestrzegane. Wydział gal. Tow. łowieckiego chciałby w tej sprawie wywołać pewną wymianę zdań członków gal. Tow. łowieckiego i prosi ich przeto, żeby pod adresem redakcyi *Łowca* pl. Halicki l. 14. we Lwowie, zechcieli przesyłać swą opinię, jak się zapatrują na owo przeważnie bezpłatne przyjmowanie przez urzędników państwowych prawa polowania w dobrach żydowskich, czy uważają to za odpowiednie i czy, jeśli fakt ten ma miejsce w ich okolicy, nie spostrzegli, że takie bezpłatne dzierżawy przyczyniają się do rozluźnienia wszelkich przepisów ustawy łowieckiej.

Zapalenie kiszek u bażantów. P. Fiorentini, znakomity uczony włoski, wydał dziełko pt. „Infekcyjne zapalenie kiszek u bażantów“. Autor badał w zakładzie patologicznym w Medyolanie chorobę bażantów, które na biegunkę ginęły, a sekcya wykazywała przekrwienie i exsudat w jelitach. Badanie mikroskopowe stwierdziło bakterye podobne do drobnoustrojów cholery kur. Szczepienie bażantów kulturami. otrzymanemi z tych drobnoustrojów, dało wynik dodatni i bażanty, którym zaszczepiono je nie zapadały już na tą chorobę.

W Oroszenach na Bukowinie znany kłusownik Jurko Czernowcan postrzelił w oroszeneckim lesie gajowego Feliksa Sitkiewicza i zranił go ciężko. Żandarmerya rozwinęła energiczne śledztwo, aby schwytać zbrodniarza.

Kłusownictwo, które nadzwyczaj jest rozszerzone w naszym kraju, jest największą plagą naszego łowiectwa. Na ręce wiceprezesa gal. Tow. łowieckiego ordynata p. Czarkowskiego-Golejewskiego, wpłynęła na kłusowników skarga Tow. myśliwskiego im. św. Huberta we Lwowie. Towarzystwo to, jako dzierżawca prawa polowania gminnego w 12 gminach pow. lwowskiego, w 7 gminach pow. żółkiewskiego, w 8 gminach pow. żydaczowskiego, wreszcie na ekwiwalentach dóbr fundacyi skarbkowskiej w obrębie klucza Mikoła ów nad Dniestrem położonych, toczy niestety ze skutkiem nie bardzo dodatnim ciągłe walki z szeroko rozgałęzionym żywiołem kłusowniczym, który mimo całego zastępu straży przysięgłej ze zdumiewającą zuchwałością niszczy wszelkie Towarzystwu statutem wytknięte zadanie podniesienia stanu zwierzyny na obszarach przez Tow. dzierżawionych. Głównie skarży się Towarzystwo na kłusownictwo w pow. żydaczowskim, a mianowicie w gminach: Stulsku i Dąbrowie. W gminach tych potworna ta klika, mimo usilnych starań, rozgospodarowała się na dobre tłukąc wszystko, co kiedykolwiek popadnie pod lufy, lub wyłapując sieciami kuropatwy. które Towarzystwo w roku zeszłym dla rozmnożenia ich z okolic Krakowa i Tarnowa, oraz z Moraw sprowadziło. Pośrednikiem w sprzedaży zwierzyny jest żyd w Stulsku, Diamant, który dozwoloną zwierzynę w całości, a zakazaną porąbaną na kawałki i w beczkach za granicę wysyła. W dalszym ciągu skarga Tow. im. św. Huberta wylicza nazwiska osób, poszlakowanych o kłusownictwo.

Wydział Tow. im. św. Huberta w celu położenia tamy tej pladze, udał się do starostwa w Żydaczowie, do krajowej komendy żandarmeryi we Lwowie i do posterunku żandarmeryi w Mikołajowie z prośbą o wdrożenie odpowiednich dochodzeń. Również udało się Tow. do wydziału gal. Tow. łowieckiego o interwencyę w tej sprawie. Wydział Tow. łowieckiego uchwalił skargę Tow. myśliwskiego im. św. Huberta odesłać namiestnictwu z prośbą o zarządzenie ścisłych dochodzeń i o uwiadomienie o wyniku tych dochodzeń wydziału gal. Tow. łowieckiego.

Przepiórki. Myśliwi rzymscy rozpoczęli już polowanie na ciągu przepiórek nad morzem Śródziemnem. Maccarese, Palidoro, Pato, Fiumicino, Anzio i Nettuno przepełniają nemrodzi, zjeżdżający na kilka dni, a czasem i na kilka tygodni, aby polować z wyżłem w zaroślach i wydmach nadmorskich. Rusznikarze rzymscy otrzymali też dla wygody swoich klientów telegramy z powyższych miejscowości, donoszące o większym czy też mniejszym ciągu przepiórek z Afryki, tak, że myśliwy, zasięgnąwszy wiadomości, może wsiąść z psem do pierwszego lepszego pociągu i stanąć na miejscu o świcie. Jeśli bowiem morze jest spokojne, wiatr jest łagodny, co zwykle trwa kilka dni, przepiórki ciągną wielkiemi stadami. Zdarza się jednak, że przepiórki nie dopiszą.

Łacina łowiecka.

Na cielęcym tropie.

Humoreska

Było to... ot, zeszłego roku.

Najlepszym strzelcem kółka myśliwskiego w górskiej mieścinie D., kółka składającego się z dwunastu wyznawców św. Huberta był pan asesor, któremu na chrzcie świętym dano imię Mikołaja, a po ojcu nosił nazwisko, które... w tej chwili wyleciało mi z pamięci. A ten pan Mikołaj, asesor — choć niewiadomo kogo i czego był asesorem — słynął z tego w całej okolicy, że miał takie szczęście na polowaniu, jakby codziennie panieńskie oglądał kolanka. Tymczasem wiadomem było w całym powiecie, że pan Mikołaj stronił od kobiet, jak dyabeł od święconej wody, że one go nie lubiły nawzajem, i że żadna z nich nie byłaby mu „na szczęście“ pokazała swego kolanka. Mimo to jednak szczęście miał, a gdy tylko rozeszła się po mieście wieść, że tu lub tam zabito wspaniałego czternastaka lub dwunastaka, z pewnością szczęśliwcem, który go położył, był nie kto inny, tylko pan Mikołaj.

Tak też i teraz było.

Doktor i sędzia, towarzysze kółka, dowiedzieli się od leśniczego, na którego terenie kółko miało wynajęte polowanie, iż ten na Mysiówce wytropił wspaniałego dwunastaka, że go podchodził i podjeżdżał nawet z rozmaitych stron, ale rogal taki był czujny, że w chwili, kiedy leśniczy już miał pociągać za cyngiel, on... szust! — i tyle go było widać.

Pan Mikołaj, ot, jakby to powiedzieć, z nudów, a może z potrzeby, wynalazł sobie „kuzyna“ w osobie właściciela zwykłej gospody, szumnie nazwanej „hotelem pierwszorzędnym“, a mającej za godło „jelenia“, i ten, szczęśliwy, że mógł nawzajem pana asesora nazywać swoim „kuzynem“, był mu oddany całą duszą. Ponieważ zaś w małem miasteczku nie było w czem przebierać, przeto i gospodarz, pan Ignacy, należał do kółka.

Doktor z sędzią przy winku rozgadali się o dwunastaku, pan Ignacy naturalnie „przypadkiem“ to podsłuchał, zawiadomił natychmiast swego kuzyna, pana Mikołaja, a ten faworyt Diany nie miał nic lepszego do roboty, jak pójść cichaczem, po za kółkiem, następnego dnia na Mysiówkę i wpakować rogalowi kulę pod piąte żebro tak zgrabnie, że jeleń padając ani beknął.

Pan konsyliarz z panem sędzią nie przeczuwali, jakiego mieli strasznego konkurenta, poszli także tego dnia rano na polowanie, przybyli jednak *post festum* i powrócili z niczem.

Po południu, jak zwykle, zjawili się „pod Jeleniem“ i popijając zieleniaczka, układali plan na wieczorną zasiadkę.

Nagle do sali wpada jak bomba pan Ignacy i wrzeszczy, co mu gardła starczy:

— Czyście panowie słyszeli? Ten mój Mikołajek ma szalone szczęście! Wyjechał najspokojniej rano, nie mając żadnego zamiaru, i ni ztąd ni zowąd powrócił z Mysiówki z wspaniałym dwunastakiem!

— Pleciesz pan! — zawołał doktor.

— Bajki! — dodał sędzia.

— Jak Boga kooham, prawda! — zakonkludował pan Ignacy.

Obaj nemrodzi stracili jakoś nagle gust do zieleniaka, wynieśli się wkrótce z „pod Jelenia“, a nie chcąc wierzyć jeszcze w prawdziwość przed chwilą usłyszanej hiobowej wieści, zaczęli się dopytywać po mieście.

Niestety! Ku swemu przerażeniu, zmartwieniu i oburzeniu dowiedzieli się, że pan Ignacy mówił szczerą prawdę: asesor ubił cichcem tego przez nich upatrzonego dwunastaka!

— Dam ja mu pigułkę! — wrzasnął zaperzony doktor.

— Ja mu to przypieczętuję! - dodał pan sędzia.

Zemsta więc, zemsta temu szczęśliwcowi, który teraz stał sobie najspokojniej w oknie swego mieszkania i kłaniał się tak uprzejmie i z taką wyszukaną grzecznością, że to wyglądało wprost na drwiny.

Minęło trzy tygodnie.

Wystrychnięci na dudków doktor wraz z sędzią przystąpili do wykonania planu swej strasznej zemsty, którego szczegóły wypracował pociągnięty do rady a znany z dowcipu i złośliwości poczmistrz pan Nicefor, zwany człowiekiem „światowym“ dlatego zapewne, że ze świata otrzymywał listy i rozsyłał je podług adresów.

Rankiem, a był to wtorek, doktor udał się do leśniczówki, zkąd po chwili wyruszył na Mysiówkę w towarzystwie leśniczego. Każdy z nich niósł starannie pod kurtką ukryty jakiś instrument. Na Mysiówce zabawili z godzinę, a wróciwszy, z wielkiej radości ustawicznie zacierali ręce i śmiali się do rozpuku.

Po południu, jak zwykle, doktor z sędzią zasiedli do zieleniaczka „pod Jeleniem“, pan Ignacy kręcił się koło nich, gdy nagle wpadł do pokoju leśniczy i obydwom nemrodom za pomocą tajemniczych gestów, ruchów i znaków starał się dać do zrozumienia, że chciałby im powiedzieć coś ważnego, ale nie może, bo mu przeszkadza obecność pana Ignacego.

Pan Ignacy, nie w ciemię bity, odrazu przewąchał, że chodzi tutaj o jakieś konszachty myśliwskie, więc ani rusz z pokoju wyruszyć nie chciał.

— Uhum! — mruknął doktor i pomyślał sobie w duchu: — Stara wrona, a idzie jednak na lep. Poczekajno, bratku, poczekaj!

Leśniczy tymczasem zbliżył się do sędziego i coś mu szepnął na ucho.

— Tak? A to świetnie! Panie Ignacy, bądźno pan łaskaw przynieść atrament i pióro. Zaraz panu ten papier podpiszę — zwrócił się do leśniczego.

Pan Ignacy rad nie rad udał się do przyległego pokoju i zamknął drzwi za sobą po to tylko jedynie, aby natychmiast przyłożyć ucho do dziurki od klucza i podsłuchiwać z zapartym prawie oddechem.

— Panie konsyliarzu — mówił półgłosem leśniczy — sztuka, co się zowie, wspaniały szesnastak, zkądś się bestya wzięła na Mysiówce, wpadłem na...

W tej chwili urwał, gdyż do sali wszedł uśmiechnięty pan Ignacy, niosąc pióro i atrament.

— Gdzieżeś pan u dyabła siedział tak długo z tą mazią? — odezwał się sędzia gniewnie. — Musiałem podpisać ołówkiem. Zabieraj pan to sobie z powrotem.

Pan Ignacy nie rzekł ani słowa, zdawał się tą szorstką uwagą nie być wcale dotknięty, ale pomyślał sobie w duchu:

— Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Spiskujecie? Zgoda! Ale Mikołajek będzie o tem wiedział.

Siadł obok trójki spiskowców w nadziei, że się dowie czegoś więcej, ta go jednak zawiodła, gdyż goście, dopiwszy buteleczki, wynieśli się wkrótce Patrzył za nimi pan Ignacy i widział, jak stanęli przed domem i coś do siebie szeptali; prawdopodobnie naradzali się nad polowaniem na tego wspaniałego szesnastaka.

— A niedoczekanie wasze! — syknął pan Ignacy przez zęby, a w kwadrans potem pan asesor wiedział już o wszystkiem.

— Taką zdobycz chcą mi świsnąć z przed nosa? To nie ze mną im się uda! Te rogi będą tutaj wisiały, tu, na tej ścianie! W samym środku!

Na drugi dzień o świcie pan Mikołaj był już na Mysiówce. Tropy były, a sądząc według nich, jeleń musiał być wspaniałem w istocie zwierzęciem.

Pan asesor spędził cały dzień w lesie.

Zdawało się jednak, że opuściło go zwykłe szczęście, gdyż jelenia nie było widać. Raz i drugi wyszedł mu na strzał dziesiątak, ale któżby się paskudził dla takiego szpiczaka wtedy, gdy lada chwila mogą się ukazać wspaniałe rogi szesnastaka?

Następnego dnia spostrzegł pan asesor świeże ślady na Mysiówce, ale w innem miejscu. Co za pech! Gdyby był wczoraj tutaj zaszedł, z pewnością już rogi upatrzonego wisiałyby na ścianie, a doktor i sędzia wściekaliby się ze złości!

Tak minął trzeci, czwarty i piąty dzień, pan asesor wciąż był na tropie, czuł bestyę niemal w powietrzu, a podejść jej nie mógł w żaden sposób.

Szóstego dnia chciwi zemsty spiskowcy powiedzieli sobie, że już czas, aby wygrać ostatniego atuta. Zwołali więc wszystkich towarzyszów, nie wyłączając pana Ignacego i jazda na Mysiówkę.

Pan asesor tego dnia znowu spostrzegł w kilku miejscach świeże ślady jelenia, ale jego samego ani nawet zdaleka.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy leśniczy doniósł, że pan Mikołaj ostrożnie przemyka się skrajem lasu. Ruszyli wszyscy.

W istocie pan asesor, przemyśliwając nad tem, co za dyabeł sprowadził takie nieszczęście, przesuwał się pod lasem, gdy nagle uszu jego doszedł jakiś szelest. Stanął, wytężył wzrok i ku swej radości dojrzał, że poza krzakami porusza się „coś wielkiego“! Ostrożnie zaczął się przysuwać bliżej, coraz bliżej, aż nareszcie... Chryste Jezu! Święty Hubercie!

Pan Mikołaj zarzucił fuzyę na ramię i co mu sił starczyło popędził wprost na... doktora, który najspokojniej cielęcemi racicami fabrykował tropy jelenie!

— Do stu..

Nie dokończył, bo w tej chwili rozległ się w pobliżu szalony śmiech całego kółka, które zaproszone przez sędziego i doktora przybyło w komplecie na tę uroczystość.

Biedny asesor stanął jak wryty, nareszcie zakręcił się na pięcie i spiesznie popędził ku miastu.

Co się dalej stało, nie wiem, to tylko rzecz pewna, że pan Ignacy stracił „kuzyna“, a pan Mikołaj od tego czasu na cielęta patrzeć nie może.

Krogulec.

Od Redakcyi.

Prenumeratę za ŁOWCA oraz zaległe wkładki upraszamy przesyłać pod adresem: Galicyjskie Towarzystwo łowieckie we Lwowie pl. Halicki l. 14.

Wszelkie reklamacje, zapytania, oraz listy do redakcyi i administracyi ŁOWCA, należy przesyłać pod adresem redakcyi i administracyi ŁOWCA we Lwowie pl. Halicki l. 14.

Treść: Zjazd łowiecki. — Jeleń olbrzymi. — Koza — nie rogacz. [wiersz]. — Dzikie gołębie. — Korespondencye. — Pieśń miłosna [wiersz]. — Cietrzewi tok [wiersz]. — Sprawozdania łowieckie. — Kronika — Łacina łowiecka. — Od redakcyi — Ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya „Łowca“: Lwów, pl. Halicki 14. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie, ul. Sobieskiego 16. — pod zarządem Fr. Kattnera.